

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

12

(Ciąg dalszy).

— I wście na prawdę tak myśleli?... Cóż za ślepotą!... Ze sam William się pomylił, to zupełnie naturalne!... Ze złości rzucił się na łono pierwszej lepszej... i wypadek zdarzył, że tą pierwszą lepszą okazała się Ewelina... I okazało się również, żeś ty był jakby stworzony do odgrywania dziwacznej roli ojca Williama!... Złożę się, że uważasz to wszystko za cudowne!... Leż tu niema żadnej cudowności, jest tylko roztropność i rozum mój, — przy słowach tych uderzył się palcem w czoło — który tak wszystko urządził, by wszelkie szanse powodzenia były po mojej stronie.

— Zdaje mi się — odparłem chłodno — że przesadzasz nieco swą potęgę.

— A ty umniejszasz potęgę Lucyi Weil — odpowiedział. — Powtarzam ci, że William może cię wielbić jak swego ojca, a Ewelinę kochać, jak swą żonę... Lecz to wszystko jest tylko złudzeniem... Tak William, jak i ty łudzicie się tylko... William rozkochany jest tylko w Lucyi Weill i nie może jej nie kochać. Czyż to dla twojej córki, Eweliny, William pokłócił się ze mną, wzgardził mem imieniem i mą kolosalną fortuną?... Nie, dla Lucyi... Jaką korzyść miałby z poślubienia przyzwoitej panny? Żadnej!... I jeżeli William oszukuje was wszystkich, jeżeli oszukuje się sam z zapalem, który może zowieść istotnie, to tylko dlatego, iż w Ewelinie odnajduje miłość swą dla Lucyi, o której śmierci przekoraliście go!

I Joe Duncan chwycił mnie gwałtownie za obie ręce i ciągnął dalej z współczującą ironią:

— Jakiś ty jeszcze młody, Jonatanie! Tyś na prawdę sądził, że ja zdolny jestem zabić Lucyę Weill?... To nie była komedia z twojej strony?... W takim razie podejrzewałeś mnie zapewne, żeś otruił i Nelly Burlington, mą cudzołożną żonę?

— Nie... William przekonał mnie z dowodami w ręku o czem innym...

— I że pozbyłem się prawdziwego Brentana, jej kochanka, czyż nie tak?

— Tego jestem pewny... tak pewny, jak był pewny William! — odrzekłem.

Król papierowy wybuchł na to dziwnym śmiechem... Potem oznajmił mi z litością nademną:

— Mylisz się, mój drogi!... Nie zabiłem Jonatana Brentano... Brentano zginął wskutek nieszcześliwego wypadku w górach! A chcesz naiwny człowieka poznać me prawdziwe myśli?... Doznaję jednego tylko żalu, jedyne żalu, który gryzie mnie inaczej, niż to, co ty nazywasz wyrzutami sumienia, a mianowicie tego, iż nie zostałem zabójcą kochanka Nelly Burlington!... Tak, w najtajniejszych pokładach sumienia uczciwego człowieka mam tylko ten jeden żal, iż nie spełniłem tej właśnie zbrodni... Ach, będzie to dzień po trzykroć błogosławiony, będzie to dzień mej zemsty, gdy William dowie się, że nie jesteś Brentanem.

— Nigdy się o tem nie dowie! — zaprzeczyłem gorąco.

— Skąd ty o tem wiesz? — roześmiał się Joe...

— Nie masz możliwości wyjawiać tego, coś już uczynił, rozwiązać tego, coś związał.

— Waryat! — mruknął Joe, wzruszając ramionami... Nie można z tobą przyjść do ładu!... Powróćmy do Lucyi!...

I suchym, rozkazującym tonem wyjaśnił mi swe zamiary.

— Lucyą Weill poślubi Teddy Brentana, twego adoptowanego syna... Wyznaczę jej pensję w sumie pięćdziesięciu tysięcy dolarów... oczekując na spadek po nas, będą mogli używać rozkoszy, do jakiej są zdolni!... Zsumujmy teraz wszystkie liczby... Uważaj... jak przedstawiają się oba testamenty, jakie rozkazałem sporządzić... Zapisuję Lucyi Weill połowę swego majątku, czyli siedemdziesiąt pięć milionów, taką sumę zapiszesz ty swemu synowi, a drugą połowę, jeżeli ci to sprawia przyjemność, przeznaczysz dla swej córki, Eweliny.

— W takim razie — odparłem, przystuchując się bacznie wszystkiemu — William zostanie wydziedziczony z trzech czwartych całego majątku!...

— To nie dotknie go najboleśniej! — zauważył Joe. — Wiem, że lekceważy pieniądze i nie dlatego postępuję tak, by mu zadać cios...

— W jakiż więc sposób chcesz się zemścić na nim?

— Jest to tajemnica przyszłości! — rzekł tajemniczo Joe...

mnio Joe... Mając jednak wzgląd na razie tylko na teraźniejszość, bądź pewny, że odczuje on to dostatecznie. gdy się dowie, że Lucyą Weill żyje, żeś ty go oszukał, że tego waryata Z... adoptowałeś za swego syna i żeś go ożenił z Lucyą... wierz mi, że po tem wszystkiem nienawiść Williama do mnie spotęguje się, a miłość dla ciebie poniesie uszczerbek.

Uśmiechnąłem się na tę pewność milionera i z pewną wyniosłością, która go bardzo zainteresowała, odpowiedziałem tajemniczo, powtarzając jego słowa:

— Skąd ty o tem wiesz?

Sądziłem bowiem w naiwności, że nawet i w tym wypadku przyczyniam się do szczęścia Polidora z Lucyą i Eweliny z Williamem, tymczasem przez jakąś fatalność przyspieszałem tylko ich zgubę.

XV.

Wśród niesłychanego przepychu, iście królewskiego urzędnika pałacu przy 34 avenue, Lucyą Weill przez dziwną ironię losu rządziła jako prawdziwa królowa u króla papierowego, Joe Duncana. Jej przysięże małżeństwo z mým adoptowanym synem, Teddym Brentano, napełniało ją niewysłownym szczęściem... Jakąś specjalną radość znajdowała w traktowaniu mnie jako dziadka i pewnego dnia, gdyśmy byli sami w przepysnej galerii obrazów milionera, odegrała ze mną scenę, jakiej nigdy nie spodziewałbym się po niej...

— Jonatanie — rzekła mi, siadając wygodnie na mych kolanach — chciałabym porozmawiać z tobą o przedmiocie, na którym mi bardzo zależy...

I głaskała mnie po twarzy, jak najczulsza wnuczka...

— Boję się sprawić ci przykrość, lecz Teddy, który nie pozbył się jeszcze różnych przesądów, nie chce, bym brała ślub w białej sukni z welonem! Przecież to jest idyotyczne, czyż nie tak?... Wy wszyscy mnie znacie, nie mnie to zresztą nie obchodzi, lecz widzisz, Jonatanie, ja jestem przesadna... Z tobą w Neuilly przeżyłam już raz dobrą sprawę i nie wiem nawet, dlaczego!... Z Williamem drugi raz!... Chcę więc teraz koniecznie wyglądać jak prawdziwa, porządna panna młoda!

I zeskakując po łobuzersku z mych kolan, czem mi sprawiła wielką ulgę, zadzwoniła na swą pokojówkę i rozkazała:

— Anno, proszę mi przynieść pudełko... wiesz już jakie... te śmieszne!

Te „śmieszne“ pudełko zawierały rzeczywiście niezwykle toaletę, zamówioną we Francji, w której Lucyą miała stanąć na rozkaz Joe do ślubu w Neuilly. Ujrzałem znowu wianek z kwiatu pomarańczowego, co prawda nieco już nadszarpany, a w którym tak bardzo było do twarzy negrowi. Lucyą wyjmowała delikatnie suknię, przetykaną złotem i zachwycała się naiwnie:

— Rozumiesz teraz, że mnie o to chodzi!... To jest za ładne!... Nie mogłabym pozbyć się tego!... Żadna z moich koleżanek nie miała jeszcze nigdy czegoś podobnego w swej wyprawie!...

I z dziecinne zadowoleniem włożyła na swe bujne czarne włosy wianek pomarańczowy.

Nie znajdowałem żadnej odpowiedzi, nie wiedząc, czy śmiać się, czy smucić się... Milczenie me położyła zapewne na karb żalu, gdyż rzekła mi zaraz:

— Na prawdę, Jonatanie!... nie zapomniawsz jeszcze... to sprawia ci przykrość?... Toś ty na prawdę mnie kochał?

— Nigdy w życiu! — zaprzeczyłem otwarcie — i możesz dowoli cieszyć się, drogie dziecko, temi świecidełkami, które ci się tak podobają!

Podczas tych słów do galerii wszedł Joe. Wziął mnie poufale pod ramię i poprowadził do palarni... Z szyderczo śmiejącami się oczami i chytrym uśmiechem zapytał:

— Chciała wzbudzić w tobie żal za przeszłością?

Odpowiedziałem tym samym żartobliwym tonem, gdyż w palarni zastaliśmy Polidora i kilku zażytych przyjaciół Joego...

Polidor stał się skończonym gentlemanem... Jak i Lucyą, nie dziwił się wcale temu niezwykle dla nich uśmiechowi fortuny. Przyjmował go tak samo, jak znosił cierpliwie w domu zdrowia doktora Duncana swe straszne osamotnienie!... Wszystko to uważał widocznie za zupełnie naturalne! Okazywał tu przytem dojrzały rozsadek, wiedział bowiem, kim ja jestem. Wiedział, że jestem rzeźbiarzem Barabasem, jego prawdziwym ojcem i że zawsze będę

działał na jego korzyść i dlatego też strzegł się usilnie ze zdradzeniem tego!...

...Ślub naznaczyliśmy na dwudziesty szósty marca, a właściwie ja nastawałem na tę datę, która wszystkim wydawała się bez znaczenia.

Tegoż dnia miał się odbyć we Francji ślub mej ukochanej córki Eweliny z Williamem... Powiadomił mnie o tem Marcadian w bardzo czułym i długim liście. Nie będąc tak dziecinnie przesadnym jak Lucyą, przywiązywałem jednak pewną wagę do tego, by oba te śluby odbyły się jednego dnia, znajdując w tem zapowiedź szczęścia dla nowożeńców!...

I to zapewne było dzieciństwem, zwłaszcza ze strony człowieka tak dojrzałego jak ja, lecz we wszelkich najważniejszych i najdonioślejszych wypadkach ludzkiego życia można zawsze znaleźć pewną dozę naiwności młodego wieku.

Oczekiwałem z upragnieniem nadejścia tej daty dwudziestego szóstego marca; spieszo mi było usunąć się od Joe i zainstalować w Filadelfii. Miałem nadzieję, że po ślubie Polidora, gdy będzie miał swój dom, będę mógł oddać się swym nowym zajęciom i zacząć żyć swym życiem. Sądziłem naiwnie, że te dwa małżeństwa będą naturalnym końcem mej niezwyklej awantury i że odtąd przyszłość moja będzie tak mroczna jak przeszłość.

Miedzy mną a Polidorem zostało zawarte jakby przymierze. Byłem przekonany, że ma dość siły charakteru, by go dotrzymać... Utwierdzało mnie w tem przekonaniu to wszystko, co zniósł od chwili bezrozumnego zabójstwa swej matki. To mniemanie o tyle było słuszne, iż do końca swego nędznego życia, do ostatniego momentu swej strasznej, przerażającej śmierci, śmiało i ze stoicyzmem odgrywał rolę, jaką przybrał na siebie od chwili wyjścia z domu rodzicielskiego... Było umówione między nami, iż cokolwiekby się stało, Lucyą Weill nigdy nie dowie się o tajemnicy naszych strasznych przygód.

Nadchodziła już wreszcie ta upragniona data dwudziestego szóstego marca, gdy William Duncan miał poślubić we Francji mą córkę Ewelinę Barabas, a mój adoptowany syn, Teddy Brentano, zawrzeć związek małżeński z protegowaną króla papierowego Joe Duncana, najprzewrotniejszą dziewczyną, Lucyą Weill... Żyjąc od czterech miesięcy w Waldorfie, zacząłem już poznawać życie Nowego Jorku... Jako miejsce swego odpoczynku po pracy wybrałem restaurację Martina, przypominającą mi kawiarnie bulwarów paryskich... Tego wieczoru siedziałem właśnie nad szklanką ponczu, oczekując Polidora, któremu tu naznaczyłem spotkanie.

Polidor przybył koło dziesiątej godzin, ze sposobu jednak, w jaki roztrzącał służących restauracyjnych, by dostać się czempredzej do mnie i z jego wzburzonej twarzy, spostrzegłem natychmiast, iż zaszedł jakiś niezwykle, nieprzewidziany wypadek... Kilka minut upłynęło, zanim mógł odezwać się, chwytając z trudnością oddech ze zmęczenia... Padł przy mnie na krzesło i ocierał z czoła pot, jak gdyby mu gorąco było podczas dwunastostopniowego mrozu, jaki wówczas mieliśmy... Wreszcie przemówił:

— I pomyśleć tylko, że nikt do tej pory nie nie spostrzegł?

— Nikt? — zapytałem spokojnie, nie przejmując się jego zdenerwowaniem...

— Nie! nikt!... Ani ja, ani ty, ani Joe!... Ach, podła! Ach, nikczemna!

Domyśliłem się odrazu, że chodzi tu jak zwykle o Lucyę Weill... nie mogłem jednak odgadnąć, co ona właściwie nowego zrobiła... Ścisnąc mnie nerwowo za ręce swymi drżącymi palcami, mówił dalej:

— Lecz czyż to może przeszkodzić mi kochać ją? Nic na świecie nie zdoła odciągnąć mnie od Lucyi Weill!... Ani jej zdrada, ani...

Wybuchem ironicznego śmiechu przerwałem jego zwierzenia, przy słowie bowiem „zdrada“ ujrzałem przed oczami swemi wiecznie śmiejącą się twarz Dżima!

— Zapewne! — odpowiedziałem drwiąco — jak zwykle, ty ostatni dowiedziałeś się o tem?

— Ostatni? — odparł Polidor — Joe nie więcej wiedział odemnie, jak również i ten wstrętny negr!... Ta podła starannie ukrywała przed wszystkimi swą tajemnicę i nie wyjawiała nikomu swego stanu!

— Jaka tajemnica? jaki stan? — dziwiłem się, odsuwając się na krzesło i przypatrując nieszczęśliwemu chłopcu...

— I dopiero dzisiaj po południu — tłumaczył mi Polidor — po powrocie z golfu, gdy doznała pierwszych boli...